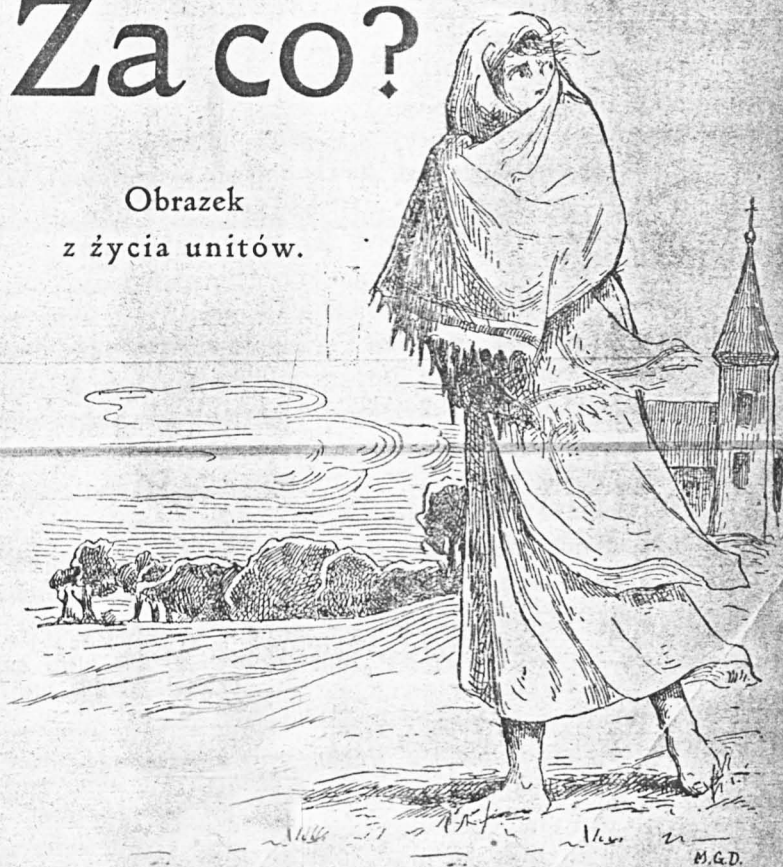


MARJA GERSON-DĄBROWSKA.

# Za co?

Obrazek  
z życia unitów.



WARSZAWA — 1917.

„KSIĘGARNIA LUDOWA“ JULJI SIKORSKIEJ  
WARECKA 14.

MARYA GERSON-DĄBROWSKA.

# Z A C O ?

Obrazek z życia unitów.



WARSZAWA — 1917.  
„KSIĘGARNIA LUDOWA“ JULJI SIKORSKIEJ  
WARECKA 14.

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deut. Presseabteilung  
Warschau, den 20 XII 1916. T. № 3945. Dr. № 372.

Widywałam ją prawie dzień dnia w mroku jesiennych poranków, gdy rano wychodziłam na lekcye, ona zaś wracała z miasta, obładowana jak wielbłąd, uginająca się pod ciężarem przepelnionych kobiałek. Zajęły mnie: jej przystojna, mizerna twarz dwudziestokilkoletniej dziewczyny, jej spojrzenie trochę ponure i nieufne, którem obrzucała rzadkich przechodniów na naszej cichej ulicy i wreszcie ruchy szybkie, lękliwe, gdy przemykała się bez szmeru pod murami kamienic. Miała wtedy w sobie coś z zestraszonego, gonionego zwierzęcia.

I widywałam ją jeszcze czasem, gdy w rzadkich chwilach odpoczynku siadywała na kuchennych schodach w oknie, wychodzącem na szerszą przestrzeń ogrodów.

Wiedziałam, że służy u sąsiadów naprzeciwno; a że ma na imię Kasia, wiedziałam także, słysząc po kilkanaście razy na dzień niecierpliwie nawoływania na różne głosy i tony. Bo i jakże! Dom liczył osiem głów, w tem sześcioro dzieci różnej płci i wieku, a Kasia była „do wszystkiego“. Pani, jak pani, — dobra była i względna; ale dzieci — kapryśne i rozpieszczone wymagały Bóg wie nie czego od Kasi, dość, że dziewczyna była wprost zaharowana, chcąc dogodzić każdemu wedle jego gustu, któremu nie wolno było się sprzeciwić.

I czemu trzymała się tej utrapionej służby, trudno było dociec. Dziewczyna była jak złoto, robotna, cicha, zdolna.

— Głupia, jak but, proszę pani, — zdecydowała stanowczo moja Pawłowa; — poszłaby za kucharkę, albo i za młodszą, ona do wszystkiego zdalna; już i ja ją odmawiałam i stróżka stręczyła do dwojga państwa...

— Nie chciała?

— Jeszcze nam naurągała, stróżce i mnie; powiedziała, że swój rozum ma, a stąd nie odeńdzie — chyba, że ją sama pani wygoni; że jej tu dobrze. A jakem jej powiedziała: „z lepszej służby toby panna Katarzyna za mąż prędzej poszła“, to, pani! do oczu mi skoczyła! „Niech mi pani Pawłowa tak nie mówi — powiada — ja za mąż nie chcę — powiada, — a innych służbów też nie chcę i niech się nikt do mnie nie czypia“. A oczy, proszę pani, to takie miała straszne! Ze dwa tygodnie pary z gęby nie puściła, patrzyła na mnie, jak na wilka, a co ja jej winowata?

Rczgała się moja Pawłowa i dowiedziałam się, że Kasia niema tu żadnych znajomości, żadnych przyjaciółek; że próbowała ta i owa skłonić ją do tradycyjnego „rajcowania“ na targu albo w sklepiku, — wszystko na nic: ledwie głową kiwnie, mruknie „dzień dobry“ i ucieka, jakby ją kto gonił.

— Ale do kościoła chodzi?

Pawłowa nagle zrobiła tajemniczą minę. Jakby po głębszym namyśle zaczęła:

— A jakże! nie można powiedzieć, chodzi co dzień raniutko przed miastem, a jakże; i modli się przykładnie. Tylko...

— No co?

— Paniusiu, już ona całkiem jakaś odmienna. Jak wchodzi do kościoła, to się chustką po oczy zapęta, jakby jej czegoś wstyd było. Raz weszłam za nią, rozglądam się po kościele, a jej niema, ani słuchu, ani ducha. Ki dyabeł, myślę; obeszłam wszystkie kąty — niema. Aż mi się dziwno zrobiło. Naraz patrzę, a tu u samych drzwi klęczy za konfesyonałem, że ledwie ją w ciemności widać. A potem jak wyńdzie, to się najsampierw obejrzy na pra-

wo, na lewo i ucieka. Na sumie nigdy jej nie widać: „za dużo ludzi Panu Bogu się naprzykrza, to jej by nie usłyszał“, powiedziała mi raz, jakem jej mówiła, żeby ze mną szła. Ale to tylko takie gadanie; coś ona inszego ma w tem.

Od tej rozmowy z Pawłową zaczęłam uważniej przyglądać się Kasi. Zająła mnie ta dzika, nieuchwytna dziewczyna. Próbowałam nawet parę razy nawiązać z nią rozmowę; ale napróżno. „Trza do roboty“ — mówiła i wynosiła się szybko z mojej kuchni, gdzie zachodziła czasami pożyczyc jakiegoś statka kuchennego.

Po kilku nieudatnych próbach zrezygnowałam.

— Dziwadło, — określiłam ją w myśli i byłabym zupełnie usunęła ją ze swej uwagi, gdyby nie pewne błahe na pozór zdarzenie, które znowu nasunęło mi szereg podejrzeń i wątpliwości co do osoby Kasi.

Jakiegoś popołudnia zastukano z cicha do drzwi mojej kuchni. Pawłowej nie było, otworzyłam sama. W sieni stała Kasia, jak zawsze zalękniona, patrząca na mnie swojemi nieufnemi smutnemi oczyma.

— Niema Pawłowej?

— Niema, moje dziecko, a co chciałaś?

— Ja... nic... moi państwo wyszli, klucz wzięli... myślałam.

— Ależ naturalnie, wejdz, posiedź, aż państwo wrócą.

Weszła, a raczej wsunęła się, zwykłym swym pospiesznym, wahającym się krokiem i przysiadła na kuferku, naprzeciw łóżka Pawłowej, nad którym wisiały szeregiem święte obrazy, z Matką Boską Częstochowską pośrodku. Wzrok Kasi zatrzymał się na świętym wizerunku.

— Byłaś w Częstochowie? — spytałam.

Wstrząsnęła głową, milcząc.

— Jedź, poproś państwa, niech cię na trzy dni zwolnią, to wystarczy. Właśnie teraz jadą kompanje, byłoby taniej.

Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy badawczo.

— No, jakże? — nalegałam.

Odwróciła głowę, unikając mojego wzroku.

— Nie można — wyszeptała.

— Czemu?

W tej chwili zastukano do drzwi.

Kasia poskoczyła, odsunęła zatrask. I nagle jakby zamarła. Skurczyła się, zmalęła, w oczach odbił się wyraz nieopisanego strachu.

Nie widziałam poza odemkniętymi drzwiami, kto stoi na progu. Ze zmienionej tylko twarzy Kasi mogłam się domyślać rzeczy najstraszniejszych.

— Jekatieryna Iwanowna Kosteckaja zdieś żywiot?

We drzwiach stał rewirowy, trzymając w ręku papier z urzędowymi pieczęciami.

— Cóż to takiego? — zagadnęłam.

— Wot tu wezwanie na opłacenie podatku szpitalnego na imię Jekatieryny Iwanowny Kosteckiej. A ona gdzie?

Spojrzałam przelotnie na Kasię, wciśniętą w kąt, z oczyma pełnymi przerażenia.

— Proszę zostawić tę kartkę; oddam jej jak wróci.

— Nu da, ale oddać trzeba, bo będzie kara od policy. — Zatrzasnął drzwi; zwróciłam się do dziewczyny.

— Kasiu, to wezwanie do ciebie.

Poruszyła ustami bez słowa.

— Nie bój się, to tylko o podatek szpitalny.

— To... to nie do sądu?...

— Ależ nie, o podatek. Ale choćby i do sądu, to i cóż? I mnie raz na świadka wzywano.

— Nie, nie... aby nie do sądu! Pani prawdę powiedziała, że to o podatek?

— Ależ moja Kasiu, cóż ty znowu! Przecieżś nie dziecko, żebyś się rewirowego bała.

— Boję się, boję się, pani moja. Jak ja jego mundur obaczę, to jakby mi się dyabeł pokazał. Matko Najświętsza! dzięki Ci, że to o podatek. Zapłacę, zaraz zapłacę; nie mam grosza, ale pożyczę i zapłacę, aby on tu tylko nie chodził. Jezu, zmiłuj się nademną... Jezu, zmiłuj się nademną...

I wybuchnęła nagle płaczem, że aż się zanosiła i trzęsła, obcierając twarz w róg chustki.

— Kasiu! Kasiu! Kasiu! — zapiszczały na schodach niecierpliwie dziecięce głosy.

\*

\*

\*

Przeszło kilka miesięcy. Kasia harowała podawnemu, zносиła z anielską cierpliwością grymasy dzieci, wstawiała o szóstej, kładła się po północy, żeby wystarczyć na usługi domu, a na wszelkie propozycje zmiany miejsca odpowiadała stale upartem milczeniem. Nie zaczępiałam jej więcej pytaniami, szanując jakąś bolesną tajemnicę, którą przeczuwałam w duszy dziewczyny. Aż pewnego dnia, wracając do domu późnym już wieczorem, usłyszałam stłumione łkanie na schodach kuchennych. Na parapecie okna, wtulona w ką, siedziała Kasia, osłonięta szalem i z twarzą w półukrytą. Na odgłos moich kroków łkania ucichły nagle, jakby całą mocą stłumione, ale nie doszłam jeszcze do swoich drzwi, gdy usłyszałam wyraźnie rozpaczliwe, podobne do jęku westchnienie:

— Boże! Boże! i co ja zrobię!...

Wróciłam się, wzięłam ją za ramię.

— Kasiu! co to jest? co ci się stało? Kasiu!

Spojrzała z pod chustki i rzuciła mi się do rąk z niebywałem u tej nieufnej dziewczyny wylaniem.

— Pani moja, nieszczęście... nieszczęście... — jęczy wśród łez.

— Cóż nareszcie, mów! trzeba coś poradzić.

— Nikt nie poradzi, sam Pan Bóg chyba. Państwo przenoszą się do innego miasta — Łowicz, czy jakoś tam, — rzuca wreszcie i znów wybucho płaczem.

— No więc cóż? to pojedziesz z nimi, przecież to nie daleko; a nie, to sobie inną służbę znajdziesz.



Pokręciła głową.

— Nie pojedę, żeby mi złotem płacili, nie pojedę... ja z Warszawy nie mogę, a inszą służbę... — wzdrygnęła się i chwyciła za głowę. — Jezu! Jezu!

Długo przekładałam jej, tłómaczyłam jak dziecku, — na wszystko trzęsła głową i odpowiadała uparcie: „nie można, nie można“.

Zniecierpliwiłam się.

— Słuchaj — rzekłam wreszcie, — mów prawdę. Ty coś masz na sercu. Jak ja ci cò poradzić mogę, kiedy nic nie wiem.

I wtedy stało się to, czego oczekiwałam. Jaskrawy rumieniec oblał bladą twarz dziewczyny, spuściła oczy i stała przedemną jak uosobienie wstydu i pokornej rezygnacyi.

— Ja pani powiem... pani je dobra, nie pogardzi... ale nie tu... tu... usłyszysz kto...

Wciągnęłam ją przemocą prawie do mieszkania. Pawłowa spała, chrapiąc głośno. W moim pokoju paliła się lampa, przyćmiona abazurem. Z oddalonych ulic dochodził stłumiony turkot dorożek, a zresztą cicho było, jak bywa we dworach wiejskich w spokojne zimowe wieczory. Ta zaciszność mojego przytulnego kątku w przeciwieństwie do rozerwanego domu moich sąsiadów oddziaływała widąc kojąco i na prostą naturę Kasi. Uspokoiliła się trochę i przysiadła na dywanie u moich nóg prawie.

Patrzałam na jej jasną głowę, z której zsunęła się chustka, na jej ładne rysy typowo polskiej dziewczyny; i w tej chwili z obopólnego milczenia uczułam, że myślimy o jednym i temsamem: ona — o swej tajemnicy, którą zna, ja — o jej tajemnicy, której nie znałam, a która przedstawiała mi się jako jakieś ciężkie, fatalne, niczem nie złagodzone przewinienie przeszłości, którego wspomnienie taką luną wstydu pokryło przed chwilą twarz dziewczyny.

— No, więc? — spytałam wreszcie.

Ale w ostatniej chwili odwaga zdawała się opuszczać

Kasię. Przymknęła powieki, skuliła się i rzekła jakby wymijająco:

— Pani mnie kiedyś pytała, z jakich ja stron jestem...

A ja z pod Włodawy...

Zamilkła, jakaś niezdecydowana, wahająca. Ukradkiem rzuciła na mnie spojrzenie, jakby chcąc odgadnąć wrażenie, wywarte jej słowami, albo nabrać otuchy do dalszych wyznań.

— To z Podlasia, — rzekłam zachęcająco.

— Tak... i... ja jestem prawosławna, — wyrzuciła nagle szybko i cicho, z nowym rumieńcem na policzkach.

W jednej chwili zrozumiałam tragedję tej dziewczyny. Tyle się czytało, tyle słyszało strasznych, beznadziejnie smutnych rzeczy.

— Aa!... Tak?... — rzekłam mimowoli.

— Widzi pani — mówi dalej Kasia, szybko teraz i gorączkowo, jakby chcąc odrazu wyrzucić z siebie wszystko — to tak wszystkie się dziwili, jak pani, a niektóre to zaraz pytają: „ruska?“ a mnie jakby kto nożem w serce. Chce, niech pani wierzy, chce, niech nie wierzy, a ja prawa katoliczka i z urodzenia i ze chrztu świętego, tylko mnie te juchy strażniki na prawosławie przepisały.

Mimowolnym ruchem położyłam rękę na jej włosach. Dziewczyna schyliła głowę i widziałam, że płacze serdecznie, cichemi łzami, temi dobrymi łzami, co są ulgą i unoszą z sobą gorycz rozpaczy.

I w cichym, oddalonym od zewnętrznego ruchu życia pokoju popłynęła opowieść bezładna, pełna niewyszlochanych skarg i bezdenne go smutku.

— Pani się pytała, dlaczego ja inszej służby nie chcę? Oj, pani moja droga, ile ja ich już miała tych służbów zapowietrzonych! i u katolików i u żydów, i u ruskich — wszędzie źle było. Jedna pani, katoliczka, niech jej Pan Jezus nie pamięta, zezłościła się i jak nie krzyknie: „a do Moskali, ty chachłacka dziwko!“ Myślałam, pani, że jej oczy wybiorę. Żeby mi była powiedziała „szelmo“, „świ-

nio“, „gałganie“ — byłabym ścierpiała. Zabrałam rzeczy i wyniosłam się do stróża. Nastręczyli mi służbę u żydów. Myślałam — przecie tym poganom to wszystko jedno będzie, aby ino służyć uczciwie. Ale żydy, pani, mądre są; zaraz zmiarkowali, co i jak, orali we mnie, jak we wołu; myślałam nieraz, że zdechnę. Dwadzieścioro ich było z bachorami, a ja jedna i jeść dawali jak psu, że aż gębę wykrzywiło. A ja myślałam: niechta, prędzej się ta bieda skończy, i Pana Jezusa i Matkę Najświętszą o śmierć prosiłam. Nie przyszła; — widać jeszcze pokuta na tej ziemi nie skończona. Zmizerowałam się, zesłałam, robić nie mogłam — i wypędzili; powiedzieli, że nie zdalna. Byłam i tu i tam; jakem paszport pokazywała, to myślałam, że mnie krew zaleje. A ile razy tak było: zajrzy pani w paszport i mówi: „prawosławna? nie, moja kochana, idź sobie do swoich, ja chcę polki“. A przecie ja katoliczka, pani moja, prawa katoliczka, Matce Boskiej Częchowskiej w szczególniejszą opiekę oddana. No, tom sobie pomyślała, u ruskich może i lepiej będzie: co im do mojej prawdziwej wiary? a chociaż dopiekać nie będą. Poszłam do ruskich. Przeklęta ta godzina. Pan był oficer, pani dobra nawet, taka wesola, jakby dziecko jakie; uradowała się, jak paszport obejrzała. „Toś ty nasza“ — powiada; a mnie aż coś ściśło, ale, myślę, „za grzychy moje“ — zostałam. Przeklęta ta godzina. Służba niby była dobra, owszem, pani taka, co to niby z sercem, nie powiem. Ale deńszczyka mieli i kucharkę, katoliczkę. Przyszła niedziela jedna i druga, a Fiodor do mnie: „chodź ze mną do cerkwi“. — Ja ni tak, ni tak. Mówię mu — a to „ja już byłam“, a to „pójdę później“, a on nic, tylko — „chodź i chodź, Katiuszka, przecie ty nasza, choć po rusku nie mówisz“. Miesiąc przeminął, a pan do mnie: „Czemu ty Katia do cerkwi nie chodzisz?“ A kucharka śmieje się, dziewczyna była młoda i wesola. Na mnie ognie uderzyły. — „Czego się śmiejesz, głupia?“ mówię. A ona aż się tacza. — „A nie byłaś to w naszym kościele na pierwszej mszy? — powia-

da — nie widziałam cię może?“ Z głupoty tak powiedziała. A pan się schmurzył, coś się widać domyślił. I potem, paniusiu, co ja przeżyłam!... Do cerkwi kazali mi chodzić, Fiodorowi pilnować, ikonę złoconą darowali, w kącie nad łóżkiem zawiesili... Grzych popełniłam, bo cały miesiąc strzymałam... Alem podziękowała. Powiedziałam, że jestem chora i do szpitala muszę. A już potem, to się dostałam tutaj naprzeciwko, pani się przyznałam do wszystkiego; tak widać pan Jezus natchnął: pani pożałowała — pirsza się taka trafiła...

— I dlatego nie chcesz od nich odejść?

— Przecie. Boję się, boję się, pani moja, że znów ta sama bieda się rozpocznie. Ciężko mi, i ręce trza po łokcie urobić, i pensya mała, ale w spokojności żyję; a teraz one się wyniesą i co ja zrobię, co zrobię nieszczęśliwa?

— Pojedziesz z nimi.

Wstrząsnęła głową.

— Nie można. Paniusia nie wie. Tu, we Warszawie, to co jenszego; tyła narodu, kto mnie tu zna, kto wie, gdzie chodzę, sam rewirowy nawet nie wypatrzy; a tam, w tym Łowiczu, małe miasto, byle strażnik wywacha i do policyi zajawi. Nie można. I ojciec przykazał z Warszawy się nie ruszać. Jak odjeżdżałam, tata mnie przeżegnał: — „Jedź z Bogiem, — powiada — a z Warszawy się nie rusz, pod błogosławieństwem zakazuję. Żadna ochfiara przez nagrody nie jest i twoją Pan Bóg porachuje, jak przed jego majestatem staniesz“. Jakże ja mogę jechać? przecie dlatego z moich stron odjechałam, żeby Pana Boga po katolicku chwalić.

Widać jednak wspomnienia ogarnęły dziewczynę, bo wzięła twarz w dłonie i kołysała głową w jakimś boleśnym zapamiętaniu.

— To już nie wrócisz nigdy do swoich?

— Może być nigdy. Po co mi wracać? żeby mnie strażniki do cerkwi goniły? Dosyć się wstydu najadłam i ja i moja familja. Oni wszystkie katoliki prawe, ja jedna

do nich nienależąca. Ja pani powiem wszystko. To było tak: mój dziaduś był unijat, ale ojciec w kościele katolickim chrzest święty przyjon i z katoliczką się ożenił. Urodził się syn, niby brat mój. Jak się strażniki zwiedzieli, dalej ojca męczyć: — „daj syna w cerkwi ochrzcić“. — Chodzili co dnia, grozili, męczyli, — ojciec nic. Raz znów przyszli: — „daj syna“ — mówią. A ojciec: — „bierzcie go ze ziemi“, — niby że to umarł. Strażniki w krzyk; ojca pozwali. Dochodzą co, jak; — nic nie doszli, ale coś widać przecie wyniuchali, że Stasiiek nie umarł, bo ojca na dwa lata do ha-resztu za opór skazali. Ano, dobrze, poszedł ojciec do kreminału. „Za duszę Staśkową“ — mówił, jak odchodził i cieszył się, że to Panu Bogu na chwałę tę karę cierpi.

— A Stasiiek?

— Stasiiek? — Kasia uśmiechnęła się chytrze, — ba, już dziś z niego pewno parobek cały, a może się i ożenił i dzieci ma. Pod Kraków go tata oddał do Austrii stryjkowi na własność. Bez granicę go nocą w koszyku przemieśli; już on tam na zawdy ostać musi. Jak poszedł tata, matka sama ostała, a w sześć miesięcy potem ja się urodziłam. Pani! teraz się sądny dzień zaczął! Codziennie strażniki były w chałupie, groziły, mordowały; matka płakała, gryzła się, aż zległa na jakąś złą gorączkę, że całkiem przez rozum leżała, abo się zrywała i ze mną we świat za Staśkiem lecieć chciała. W chałupie ino stara wujna była, co matki pilnowała. Jak matka ozdrowiała, już byłam w cerkwi ochrzczona i do ksiąg cerkiewnych wpisana. Jako się to nieszczęście stało, nikt nie wiedział. Kiedy tata wrócił, matkę i wujnę skatował, że to dopuściły, mnie chciał udusić, dobre ludzie obroniły. A niechajby lepiej nie broniły na takie życie pieskie... Do siedemnastu lat chowałam się w domu. W kościele, w naszym, katolickim kościele byłam co niedziela. O świcie leciałam, jak jeszcze szaro było i wieś spała, a potem kołowałam polami, lasami. Do kościoła było pół mili; ja, pani, czasem dwie obleciała, żeby ino strażnika zmanić, a w miedzach przypadająca nie

raz, nie dziesięć, jak ten zwirz dziki, od strzelca uciekający. — Jednego dnia tata mnie woła: — „Zbieraj się — mówi — dziewucho, pójdiesz na służbę do Warszawy. Tam miasto wielkie, narodu tyła, nikt cię nie wypatrzy, coś za jedna“. — A ja buch ojcu do nóg. — „Tato, — mówię — nie wyganiajcie, jak ja tam sama będę?“ — Ale to nie to było, pani moja, ino to, żem chłopaka miała, co się ze mną żenić chciał, Antek mu było. Ale ojciec kwardy był: — „pojedziesz i pojedziesz — powiada — nic tu po tobie, tylko zgryzota wieczna“. — Tak ja do matki i mówię jej o Antku. Ale że to matka nic nie mogła przeciw ojcu, więc tyle, co aby powiedziała. A ojciec: — „Nigdy to nie może być, — powiada. — Za mojego żywota do cerkwi ślubować nie pójdiesz, a do kościoła naszego świętego nie możesz“. — Ja do Antka. A on: „nie płacz, — mówi — Anus (bo mnie po katolicku Anna na imię), nie pójdziem do nijakiej cerkwi, ino tak żyć będziem, jak ono Jędrzejowie, Walentowie, albo i Jaśkowie i tyła innych żyją, co ich stary Szczepan na życie pobłogosławił“. — Tak się, pani, we mnie wszystko aż uradowało. Lecę nazad do ojca. — Zezłościł się tata. — „Głupiasz ty i twój Antek, — powiada — żyć to możecie pod błogosławieństwem starego i grychu w tem niema; ale co z bachorami zrobicie, jak was Pan Bóg nimi udaruje? Dobrze ci to na świecie? lepiejby cię matka nie rodziła“ — Com się naprosiła, pani moja, u nóg mu się, jak pies, włożyłam... Nie i nie. — „Wnukowych duszyczek na zatracenie nie dam, — powiada. — Zgubionaś ty, dziewczyno, — powiada — dość nieszczęścia. Nie byłoby tak z tobą, — powiada — żeby ja tu był, jak cię do cerkwi brali, nie dałbym duszy twojej djabłu na uciechę, choćby mi ją, jak Staśkowa, wykupić przyszło: na dwa, abo i na pięć lat kremi nału ochfiarowałbym się ochotnie. Bóg chciał, niech będzie pochwalone Imię Jego, a ty, dziewczyno, musisz we świat w cichości Panu Jezusowi się kajać za tę winę, coś jej niewinna“. — Tak powiedział, jakobym dziś słyszała... I pojechałam. Jesień to była, pani, mgły wisiały, jak płach-

ty i dyszcz pokrapywał drobniutko. Jakby dziś to było, tak pamiętam. A jak ostatnie drzewa Hrudek z oczu mi zeszły, myślałam, pani, że mi chto serce wyjon i już tak do samej Warszawy, niby ten kamień nie czujący, dojechałam. Dwanaście lat, pani moja, już się tu skrywam i Pana Boga o śmierć rychłą proszę.

Umilkła i objąwszy kolana rękoma, siedziała cicho, wpatrzona przed siebie i nic nie widząca.

— Już pójdę. — Może Pan Jezus natchnie, może Matka Boska dobrą radę ześle.

Obiecałam być jej pomocą w tej biedzie: może u przyjaciół lub znajomych dobre miejsce się znajdzie.

I znów spotykałam ją rano, dążącą z miasta, i byłam może jedyną spotykaną osobą, której Kasia przesyłała nieśmiały uśmiech, a czasem ciche: „dzień dobry“.

Zbliżał się termin wyjazdu moich sąsiadów, a tu nic jakoś nie trafiło się dla Kasi.

— Czy szukasz służby, Kasiu? — zagadnęłam ją kiedyś. Wstrząsnęła głową.

— Dlaczego? Teraz od kwartału możesz lepszą dostać.

— Pani wie, że dla mnie nie ma lepszych służbów; każda będzie zła — odparła z jakąś rozpaczliwą rezygnacją.

Już tylko dwa tygodnie pozostawało do odjazdu państwa z przeciwka, gdy pewnego pięknego poranku zastaję moją Pawłową lamentującą, jak nigdy jeszcze mojej wesołej baby nie widziałam. Asystuje stróż, stróżka mocno zaferowana, Kasia, jakaś kumoszka z czwartego piętra. Pełna kuchnia ludzi.

— Co się stało? — pytam, przestraszona nie na żarty. Pawłowa, zobaczywszy mnie, podwaja lament.

— Paniusiu! pani nic nie wie, co się stało! Takie nieszczęście! O Jezu Najukochańszy! Czy ja spodziewałam się takiej godziny doczekać!...

— Cóż nareszcie? Umarł kto? zachorował?

— A żeby była pierwej zdechła! ażeby ona ciężkie skonanie miała! ażeby ona z piekła nie wyrzała! — krzyczy

wciąż Pawłowa coraz cieńszym dyszkantem, uderzając pięściami po kolanach. — Na moje stare lata!... o Matko Przenajświętsza!...

— Synowa jej odjechała od męża, — objaśnia stróż. — O tu pisze syn z Grójca: „przyjeżdżaj, mat'za, Wikta mi uciekła, z bachorami sam nie poradzę, chyba we Wiśle popotę, żarcia im niema kto ugotować, a za łby się wodzą...”

— Gdzież ona uciekła? — przerywam.

Baba siedzi teraz jak skamieniała, kiwając rozpacznie głową w zbakierowanym czepku.

— No, mówcież, Pawłowo.

— Wątroba ją wie! — wrzeszczy w nowym napadzie rozpacz, rozkładając bezradnie ręce. — A jakże ja pojedę?... taką służbę rzucę! na stare lata z bachorami się ujadać!

Po długich perswazyach, ze znacznym udziałem stróżów i kumoszki z góry, zdecydowała się Pawłowa jechać nazajutrz. Oczywiście ani obiadu, ani kolacyi w domu przez te dwa dni nie miałam, bo Pawłowa zapakowała się wprawdzie we dwie godziny, ale żegnała z kumoszkami półtora dnia z okładem. Wreszcie pojechała, a ja zostałam jak na lodzie.

We dwa tygodnie później Kasia zagospodarowywała się w mojej kuchni, rozpromieniona tak, jak jej nigdy nie widziałam poprzednio.

I zaczęły się szczęśliwe czasy w życiu Kasi. Jeżeli jej jednak było u mnie dobrze, to i mnie z nią nie gorzej. Czulałam w niej jakieś psie przywiązanie, jakieś bezgraniczne zaufanie — węzeł, zadziergnięty w ów cichy, jesienny wieczór, pierwszy z szeregu innych, które po nim nastąpić miały.

Miałam ten karygodny zwyczaj siadywania późno w noc nad książką lub pisanem. Kasia, zmiarkowawszy to, też siedziała mimo moich przedstawień i perswazyi. Słyszałam ją jak krzątała się cicho po kuchni, czasem szyła, czasem czytała książki religijne, sylabizując z trudem, a czasem, rzadko, rzadko — nuciła z cicha jakieś smutne, zawo-



dzące piosenki. Z początku krępowano mnie to jej wysiadanie po nocach, powoli jednak przywykłam i dziwno mi nawet było, jeżeli czasem Kasia, zdrzemnąwszy się, nie zjawiała się cicho, jak cień, gdy tylko posłyszała ruch w moim gabinecie i otwieranie drzwi do sypialni. Zjawiała się, pomagała mi przy rozbieraniu i gdy już wszystko przygotowała, poskładała, wynosiła się tak cicho, jak weszła.

Czasem, zmiarkowawszy, że nie mam jeszcze ochoty spać, — zagadywała. Zdarzało się, że zajęta swemi myślami zbywałam ją krótką odpowiedzią; wtedy z dziwnym u tej prostej dziewczyny odczuciem przerywała natychmiast i rzuciwszy mi ciche „dobranoc“, znikła za drzwiami. Czasem jednak, zachęcona „dobrem słowem“ — jak mówiła — przysiadowała na dywanie koło łóżka i opowiadała.

— To było tak, pani moja — rozpoczynała. Myśli jej i wspomnienia szły zawsze w jedną stronę i niby srebrne nici pajęczyny, wiatrem niesione, wieszały się u słomianych strzech chat, u pochylonych wierzb nad cichym stawem, u zmurszałego krzyża na rozdrożu. Niby srebrna przędza — omotywały kilka głów kochanych a straconych. Najczęściej jednak szły za płową głową młodego chłopaka, którego dotychczas takim widziały wpatrzony w przeszłość oczy dziewczyny. Myślała o nim, wierzyła i wbrew wszelkiej możliwości — spodziewała się. Przysięgał się: „będziesz moją, tak mi Panie Boże dopomóż, ino aby grosze uciułać, bez granicę się przekraść, a żyć będziemy w spokojności, jako w niebie anieli“. Sto pięćdziesiąt rubli krwawo uciulanych ma już w kuferku, ale to jeszcze mało; jak trzysta zbierze, to dopiero...

Wierzyła i czekała.

Po paru miesiącach znalazłam historię Kasi od urodzenia niemal aż do chwili wyjazdu ze wsi. Czasów warszawskich nie tykała nigdy, a gdy ją czasem o nie zagadywałam, otrząsała się, chmurzyła i milkła. Przypominała mi wtedy tę Kasię z przed roku z pieczęcią wiecznego mil-

czenia na ustach, kryjącą w sobie to, co było jej duszą, jej szczęściem i tragedją.

Czasem odbiegała od swoich osobistych niebogatyh dziejów i miarkując, że słucham chętnie, prawila mi historye swych krewniaków, znajomych, sąsiadów z tej wsi lub okolicznych. I wśród tych opowieści raz po raz padały szczegóły dziwne, niesłychane, nieprawdopodobne swą okropnością i tragizmem.

...więc — kończyła raz Kasia — wziął, proszę pani, siekierę i przy strażnikach rozłupał dziecku głowę.

— Ależ, Kasiu, to niemożliwe! Co ty opowiadasz!

— Widziałam to, pani moja, widziałam — widziałam, jak tu żywa stoję.

Widziała i słyszała.

Rzeczy straszliwe, niesłychane, niepodobne do wiary...

...Widziała kościoły, gwałtem zabierane, i takie, które skazywano na przymusową ruinę...

...Widziała całe tłumy ludzi, pędzone nahajami od wrót kościelnych...

...Widziała trumny, gwałtem rodzicom wydzierane, i przez nikogo nad grobem nie żegnane...

...Widziała dzieci, co nie szły za trumnami rodzicieli...

...Widziała matki z niemowlętami, co się, jak tropione zwierzęta, kryły całymi tygodniami w ostępach leśnych...

...Widziała, jak matkom wydzierano synów...

...Widziała ojców, co na swe dzieci śmierci wzywali...

...Widziała groby, nocą sypane na niepoświęcanej ziemi...

...Słyszała pieśni kościelne, dochodzące z wnętrza za partych a płonących stodół...

...Słyszała jęki rozpaczne i próżne wołanie o sprawiedliwość...

...Słyszała groźby i klątwy, jak pioruny...

...Słyszała skargi na krzywdy, których nikt nigdy nie pomścił...

...Słyszała naigrawanie się cierniom na umęczonej głowie...

Widziała, słyszała.

I szła ta straszna historia, różaniec bólów człowieczych i przechodziły godziny za godzinami, aż czasem świt błądy zaglądał w okna. I Kasia na odchodnym jeszcze rzucała ostatnie słowa:

— Widziałam to, pani moja, słyszałam.

\* \* \*

Minęło lat pięć. Kasia przeszła już dobrze trzydziestkę, mimo to wydawała się dziś młodszą, niż wówczas, gdy ją poznałam.

A czasy się zmieniły. Od wschodu, skąd dotychczas mroźne tylko szły podmuchy, nabrzmiałe jękami tajg sybirskich i zaduchami więzień i katorg, powiał jakiś wiatr nowy, który pomimo zimy na świecie rozgrzewał umysły i serca. Coś przeczuwano, czegoś się spodziewano, czekano; ludzie ruszali się żywiej, pisma, druki nabrały barw i sił. Gorączkowo a skwapliwie zbierano każdy okrucieństwo lepszych nadziei.

I stało się, że przyszedł dzień, jak zorza promienny, dzień wielkiej radości dla setek tysięcy istnień ludzkich. Wolność sumienia, tolerancja religijna! W zatęchłe więzienne mroki spadł pierwszy jasny promień. Nie wierzono prawie.

Pierwszą moją myślą była Kasia. Niecierpliwie czekałam jej powrotu z miasta. Weszła jak zwykle spokojna, cicha, nic nie przeczuwająca.

— Kasiu! słuchaj, ciesz się, będziesz mogła przepisać się na katoliczkę! Tu napisane — o, patrz!

Oczy jej błysnęły, zaczerwieniła się i zbladła, — po chwili wstrząsnęła głową.

— To nie może być, pani się pomyliła.

— Jakże! wyraźnie napisane, słuchaj — czytam jej powoli słowo po słowie — i sam cesarz podpisał.

— Może i cesarz podpisał, a taki strażniki nie dopuszczają.

Nie wierzyła. Mimo to zamysłona była i niespokojna i po południu, wbrew zwyczajowi, wybiegła na miasto. Wróciła rozpromieniona.

— Wszędzie to mówią! Panie Jezu! ludzie tam u nas chyba jak pijane chodzą. W sklepiku mówili i u nafcarki, przed kościołem rozmawiają; wszystkie ludzie mówią, że prawda i że tego nikt, nawet sam naczelnik powiatu, odmienić nie może. Sklepiczarka zaraz w niedzielę krzyczy wyprawia, — syna ma po pierwszym mężu, co rewirowym był; chłopak osiem lat z wody tylko krzczony. Matko Boska, co tam w naszych stronach! czy one aby już wiedzą? Ale strażniki albo i pop, to ci musi źle teraz są! Oho! już im nikt kurów nosić nie będzie do gęby zatykania! Skończyło się!

Tryumfująca była i wojownicza. Radość poprostu rozsadzała jej piersi, jaśniała w oczach, wyrwała się na usta; odmieniła ją i odmłodziła.

I zaczął się gorączkowy okres w życiu Kasi. Ja sama nagliłam o pośpiech w załatwieniu formalności, bojąc się jakich „wyjaśnień“, praw dodatkowych, wyjątków, tłumaczeń, które zdawały się wisieć w powietrzu. Nareszcie pewnego popołudnia Kasia wróciła do domu splekana, uroczysta. Już ją przepisali w parafii, spowiadała się i komunikowała pierwszy raz w życiu jawnie, otwarcie.

W kilka dni później jechała w swoje strony, pierwszy raz po siedmnastu latach dobrowolnego wygnania. Trzeba było uporządkować pasport, wykreślić się z ksiąg cerkiewnych. Jechała niespokojna, wzruszona i jakby bez wielkiej chęci.

Miała urlop na trzy tygodnie, — wróciła w tydzień — spokojna, ale jakby zgaszona.

— Tak prędko? — zdziwiłam się. — Cóż, bardzo tam Kasię witali?

— Kto miał witać? — mruknęła. — Abo ja tam kogo mam? abo oni mi swojacy? Ja im obca. Tata na mogiłkach już dwa roki, matka ledwie że mnie rozeznała, na

rozumie, pani, pomięszana, że to zgryzotów miała wiele bez to marne życie. Pani, jakem zobaczyła chałupy Hrudek, myślałam, że ze mnie dusza wyńdzie. Tak samo wszystko stoi, ino drzewa kruszynę popodrastały; nawet ten kamień duży na zawrociu, com sobie o niego głowę dawniej rozcięła i dołek, co po nim kaczki pływają. Wszystko takusieńkie, ino ludzie inaksze. Co było młode, to je stare, co było stare, to w ziemi leży, a młodziaków narosło, co już mi one znajome nie są. To i cóż mi za radość. Ani ja ich, ani oni moi. Jakem odjżdżała, tom się ino krzyżem świętym przeżegnała, głowę chustką zapętała, a Chaimowi, co mnie wiozł, dziedziescia groszy dodała, aby ino prędzej jechał.

Zamilkła na chwilę.

— Antek się ożenił, już piętnaście lat. Dzieci ma pięcioro... Nie poznał mnie... — machnęła ręką. — Tu już ostatną w spokojności, Panu Jezusowi dziękująca, że łaskę taką wielką uczynił i do wolności przywrócił.

— Papiery masz w porządku? Wszystkie?

Skinęła głową.

— Wszystkie, i w paszporcie przepisane; jedno aby co pop z księgi cerkiewnej wykreślić nie chciał.

— Nie? i dlaczego?

— Kto jego wie? nie i nie, uparł się i już. Ale ludzie mówią, że to nic.

I znów przeszło lat kilka. Po świecie szły burze za burzami, biły pioruny, ale Kasia mało się tem interesowała. Wyzwolona z gnębiącej tajemnicy i przymusu oddawała się praktykom religijnym ze zdwojoną gorliwością. Twarz jej się nawet zmieniła, straciła wyraz nieufności i lęku. Wspomnienia młodości oddalały się, bladły. Kasia zaczynała przeżywać okres pewnej biernej, szarej szczęśliwości, w której niemasz słońca, ale niemasz i huraganów.

\*

\*

\*

Szły dni za dniami i przeszło ich sporo, podobnych do siebie jak ziarenka piasku. Przywykłam do pogodnej teraz zawsze Kasinej twarzy.

— Cóż, Kasiu, lepiej teraz niż dawniej? — pytałam czasem milczącej z natury dziewczyny.

Wstrząsnęła się, jakby zmorę gniotącą z piersi zrzucić chciała.

— Oh, pani moja, otrząchłam te wspominki ze siebie, już mi one nie bolące, aby ino żywota w spokojności dożyć i na katolickiej ziemi grzyszne ciało złożyć. To jedno co me kole to ta książka cerkiewna, co w niej moje imię napisane stoi.

A na horyzoncie kraju po kilku dniach jaśniejszych i promienniejszych znowu zaczęły się gromadzić chmury—ciemne, posępne, złowróżbne. Coś w nich huczało, kotłowało się, grożąc brzemiennej klęskami burzą. Aż przyszła jedna od innych straszniejsza, rzucając złowrogi cień na cały kraj.

Kasia od dni kilku chodzi jakaś niespokojna, popłakuje po kątach, czego dawno, dawno już nie bywało.

— Wspominki, — myślałam.

Ale nie wspominki to być miały.

Pewnego wieczoru wsunęła się cicho do pokoju i przykucnęła swoim zwyczajem na dywanie.

— Czy to prawda, pani moja — zaczyna cicho, patrząc mi z lękiem w oczy — czy to prawda, że nasze strony mają być oddzielone?

Niezrozumiałam odrazu.

— Ano niby że tamte strony, niby koło Chełma, Włodawy, mają być już tak całkiem ruskim oddane? Tak tam ludzie gadają. Na targu jeden opowiadał, co taki dość nauczny jest, ino co wódkę pije na umor. „Cieszta się, ludzie, teraz nas będą — powiada — po kawałku krajać, lekciej będzie zdychać“. I tak kłął, paniusiu! Ludzie się śmiały, a mnie aż coś pikło, bo on o Podlasiu mówił, że je niby mają wziąć, i że kto w księgi cerkiewne zapisany,

to go za ruskiego liczą, że niby mają sami prosić, coby ich wzięli. Poleciałam za nim, żeby się lepiej spytać, ale taki był schlany, że ani z nim gadać. Pytałam ludzi; ten gada tak, ten tak, ale wszystkie mówią, że jakieś tam nowe ma być nad nami gałgaństwo. Czy to prawda, pani, czy to tylko ludzie tak pletą?

I patrzała na mnie niespokojnie z takim śmiertelnem przerażeniem w oczach, że milczałam, szukając próżno słów, któreby tę umęczoną znowu duszę ukoić mogły.

— Bo jakby tak — ciągnie dalej — to już nam chyba ino wszystkim z Hrudek lepiej odrazu pod ziemię iść, jakby się to wrócić miało, co ono było.

— Przecież żyliście i wtedy... — spróbowałam.

Zachnęła się niespokojnie.

— Żyli my, bo tak się już w wieszczęściu porodzili, to i żyli, jako te ślepe od urodzenia; żyli przez nadziei, lepszego nie czekający i myśleli, że tak nam za jakieś grzychy przeznaczono. Bogu się ochfiarowali i żyli. I myśleli my potem: Pan Jezus ochfiarę przyjął i rękę karzącą odjął. I przejrżeli my, jako one ślepe, cudownie uzdrowione, i w swobodności żyjąc Boga chwalili. A teraz znowu ciemność Bóg zsyła i wolejby wcale świata nie pokazywał, niż go ma znowu ciemnością wieczną nakryć. A pani moja nic nie mówi, widać to musi być prawda.

I odeszła zgarbiona, jakby jej dziesięć lat przybyło, z twarzą niby popiołem zasypaną i zgaszonemi oczyma.

\* \* \*

I znowu szły dni za dniami i przyszła druga burza nad wszystkie inne straszniejsza. I już nie pioruny były, ale świat się walił i nie wyły wichry, ale szedł jeden wielki jęk i płacz, i nie łyskały rzadkie błyskawice, ale długimi nocami płonęły łuny pożarne.

A z tych pożarów i zgliszcz, z tej krwi i łez wstawały nowe nadzieje, nowe świty.

Kasia z dziwną odpornością znosiła wszystkie przeciwności, związane z temi strasznemi i niezwykle mi czasami, a na wszystkie opowieści o okropnościach wojny uśmiechała się lekceważąco.

— Ja ta widziała gorsze — mówiła — Śmierć nie strach, ino życie.

I było tak póty, póki gromy nie sięgnęły jej stron.

Zbudziła się. Co dzień, przynosząc mi gazetę stawała i patrzyła na mnie z niepokojem i niewypowiedzianem pytaniem na ustach „co tam u nich? tam, koło Włodawy, w jej stronach?”

— Duchowieństwo prawosławne opuściło swoje parafje, słyszysz, Kasiu? cerkwie zamknięte, popi odjechali...

Wpatrzyła się we mnie z natężeniem.

— Pani prawdę mówi? A księgi cerkiewne, nic o tem nie stoi?

Roześmiałam się.

— Kto ich tam szukać będzie, nikt nie dojdzie, ile ich przepadło, spaliło się.

— A oni ...odjechali i żandarmy i strażniki... ścierwał ścierwał

Głos jej brzmiał jakąś dziką nienawiścią, nieznaną mi w tej cichej dziewczynie, oczy błyszczały strasznie, złowrogo...

— Ścierwał — powtórzyła — Godzina sądu na nich! tak, tak, Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy. Godzina sądu ...godzina sądu, — dodaje ciszej i nagle wybu na płaczem strasznym, bolesnym, niepołamowanym.

Za co? Za co?

Za co dzień jej życia, jak noc czarny? — za co młodość, jak chwast zdeptana? — za co miłości jej zwiędłe nim w kwiat się rozwiły?

Godzina sądu idzie, przez ziemię zgliszcz i popiołów i serc na wieki zatrutych.



# „KSIĘGARNIA LUDOWA“ JULJI SIKORSKIEJ

WARECKA 14.

<b>Brzezińska i J. Porazińska</b> — Ziarna. — Czytanki pierwsze dla dorosłych	złp. 3 gr. 10
<b>Bobowska E.</b> — W szponach nędzy, według Wiktora Hugo. Cz. I	„ 1 „ —
— W szponach nędzy, w. Wikt. Hugo. Cz. II	„ 1 „ 10
„ „ „ „ „ Cz. III	„ 1 „ 6
„ „ „ „ „ Cz. IV	„ 1 „ 24
<b>Czerwińska A. i Lewandowska K.</b> — Czytania dla młodzieży i dorosłych. Cz. I-sza	„ 2 „ —
— Czytania dla młodzieży i dorosłych. Cz. II	„ 1 „ 18
<b>Czerwińska A. i Weychertówna Wł.</b> — Zbliżka i zdaleka. Cz. I-sza. Człowiek i ludzkość	„ 2 „ 20
<b>Czerwińska A.</b> — Piętnaście lat Rosji w Polsce od 1815 — 1830 r.	
— Od niewoli do wolności	„ — „ 20
<b>Dyakowski B.</b> — Pogadanki mineralogiczne. 1. Sól	„ 1 „ —
„ „ 2. Szkło	„ 1 „ —
„ „ 3. Piasek	„ 1 „ 6
— Zwierzęta lądowe i morskie w różnych częściach świata. Z licznymi rysunkami	„ 5 „ 10
<b>Morzycka F.</b> — Dzieło jednego życia, podług Buckera Waszyngtona	„ 1 „ 10
<b>Požaryska W., Sulicka M. i Weychertówna Wł.</b> — Zbliżka i zdaleka. Cz. II-ga. Człowiek i wszechświat	„ 4 „ 20
<b>Weychert-Szymanowska Wł.</b> — Książeczka dla tych, co chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku. Wyd. 2-gie.	„ 2 „ 10
<b>Weychertówna Wł.</b> — Nauka poprawnego wysławiania się i pisania oraz wskazówki dla czytających książki	„ 1 „ 18

## TEATR LUDOWY

IMIENIA FAUSTYNY MORZYCKIEJ.

<b>Jaroszyńska H.</b> — W Swojczy. Z powieści A. Dygasińskiego, opracowała na scenę	złp. 2 gr. —
<b>Marcinowska J.</b> — Szopka żołnierska	„ — „ —
— Za wolność ludu — obrazek sceniczny	„ — „ —